

# e-den

Mikaël Ollivier  
Raymond Clarinard

tłumaczenie Jadwiga Jędryas



Wydawnictwo Dwie Siostry  
Warszawa 2007

## > prolog

Jak co rano niebo nad wzgórzami porośniętymi gajami iglaków i bukszpanów oraz nad Whale Bay, czyli zatoką wielorybów, ma barwę nieskazitelnego błękitu. I jak co rano Mel stoi na tarasie, na najwyższym piętrze domu. Mimo wczesnej pory za nic w świecie nie chce, by ominął ją niepowtarzalny spektakl.

Po jej lewej stronie umykają w nieskończoność zielonkawe szczyty, upstrzone domostwami, górujące nad zatoką. Po prawej wije się droga prowadząca do miasta, którego Mel nie może zobaczyć z tarasu.

Podnosi się wiatr, lekki i ciepły, niosąc przed sobą nieśpieszny klucz dzikich gęsi, które, zanim odlecą w głąb łądu, zakreślają szeroki krąg nad powierzchnią morza. Oparta łokciami o poręcz dziewczyna wciąga głęboko powietrze, smakując jego lekko słoną woń zmieszaną z zapachem ściółki.

Przed nią, zielony i ozłocony, drzemie w słońcu maleńki archipelag: Funny Islands. Wesołe miasteczko, które rozciąga się na wyspach i łączących je mostach, jeszcze jest zamknięte. Mel uwielbia obserwować grę jego światła na wodach zatoki w nocy, gdy przeżywa ono szczyt aktywności. Jednak rankiem czeka na coś innego. Coś, co niebawem nastąpi.

Dziewczyna jest jeszcze przed śniadaniem, ale wie, że mama przygotowuje je po powrocie z miasta. Może więc

> Daryi,\_Madelaine\_i\_Camille

spokojnie zostać na tarasie i podziwiać morze. Za jakiś czas pójdzie się wykąpać. Na położonej poniżej prywatnej plaży będzie czekać, aż dołączy do niej mama z przygotowanym posiłkiem. Potem pójdą razem polazić po sklepach. Mama to uwielbia. Później wieczorne wyjście do kina, ploteczki...

Nagle przeciągły świst rozlega się nad zatoką, a serce Mel podskakuje z radości. Każdego ranka przybywają punktualnie, aby zaśpiewać dla niej. Na początku widać tylko bruzdy, zaledwie cienie pod powierzchnią. Mel je liczy. Dzisiaj pięć. Czasem jest ich więcej, czasem mniej, ale zawsze zjawiają się o tej samej godzinie. Właśnie pierwszy grzbiet wynurza się powoli ze spokojnych toni wśród migoczących kropelek, po czym nurkuje ponownie. Potem kolejny i kolejny... Rozpoczyna się balet.

Wieloryby towarzyszą sobie śpiewem, obracając się i krążąc w morzu wyłącznie dla przyjemności Mel. Oczywiście dziewczyna zdaje sobie sprawę, że mieszkańcy innych okazałych willi również muszą rozkoszować się ich widokiem, ale w głębi serca wie, że wieloryby przyplývają tylko dla niej. Melodia narasta; gwizdy i drgania mieszają się w koncert, który nigdy jej nie nuży. Wreszcie jeden z wielorybów, najprawdopodobniej najmłodszy, wyskakuje z wody w całej swej okazałości, by wpaść do niej z hukiem w wybuchu piany. To finał.

Zadowolona Mel obserwuje, jak olbrzymy zanurzają się i odpływają na pełne morze. Jutro znów tu będą, a dziewczyna nie opuści swego posterunku na tarasie. W chwilowym zamyśleniu postanawia, że pewnego dnia

podąży ich śladem. Ale dźwięk klaksonu budzi ją z tych marzeń i Mel przypomina sobie, że jest głodna. Przenosi wzrok na drogę i dostrzega czerwony kabriolet matki, która wraca z zakupami, równie punktualna jak wieloryby.

Rozpoczyna się kolejny idealny dzień.

> 1\_

> Goran\_07\_04

Do czego sprowadza się życie? Dziś wieczorem powinienem być w Bretanii, a jestem w moim pokoju w Paryżu, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczyma. Myślę o niej. O Mel. Zdaje mi się, że nie jestem tą samą osobą, co dziś rano; mam wrażenie, że to, na co czekałem od długiego czasu, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, właśnie się wydarzyło.

Tego ranka wyjechaliśmy z ojcem o dziewiątej rano. W samochodzie ostentacyjnie udawałem obrażonego, choć w rzeczywistości siedziałem jak na szpilkach.

– Przestań się boczyć, Goran! – jęknął tata.

– Nie boczę się.

– Odkąd wyruszyliśmy, nie odezwałeś się ani jednym słowem. Myślisz, że mi sprawia przyjemność to, że mam tylko cztery dni wolnego?

– Obiecałeś, że spędzimy razem dwa tygodnie.

– Wiem. I zapewniam cię, że wolałbym spędzić te dwa tygodnie w Bretanii z ojcem, matką i synem, zamiast...

Westchnienie zakończyło zawieszzone zdanie.

– O co tym razem chodzi? – zapytałem.

– Squat w Barcelonie. Przedawkowało dwunastu delikwentów.

– PulpXem?

– Taaa... Szczeniaki. Większość w twoim wieku. Niedobrze mi się robi na myśl, że to mógłbyś być ty...

Bez obaw. Gdy się jest synem Serge'a Poireta, jednego z najbardziej uznanych agentów federalnych Biura Dochodzenia i Zwalczenia Narkomanii, raczej nie ryzykuje się sięgania po narkotyki. Przez całe dzieciństwo nasłuchiwałem się o przedawkowaniu, martwych smarkaczach znalezionych na podejrzanych odludziach, wsadzeniu za kratki dealerów, o heroinie, cracku, PulpXie, Thrillsach...

Właśnie wjechaliśmy na ośmiopasmówkę, gdy ruch uliczny gwałtownie się zatrzymał.

– Co się znowu dzieje? – zapytał ojciec.

– Wygląda na demonstrację.

Rzeczywiście, wydało mi się, że dostrzegam transparenty i pieszych obok stanowisk kontrolnych ściągających opłatę za jazdę autostradą.

– To mi przypomina moją młodość – rzucił ojciec. – Wtedy samochody nie były jeszcze zaopatrzone w kody. Przy wyjeździe na autostradę trzeba było się zatrzymać, aby wziąć bilet, i zapłacić przy wyjeździe. Co roku w sezonie wakacyjnym ta sama historia: korki już od wjazdu Saint-Arnoult, a trzy godziny później było się w Rennes.

– Trzy godziny?!

– Tak. Wtedy wolno było jeździć o wiele szybciej niż teraz. Twój dziadek ciągle gnał sto pięćdziesiąt na godzinę.

– Wow!

– A w ciągu trzech i pół godziny było się nad morzem.

Wreszcie, w żółtym tempie, dotarliśmy do bramki na autostradzie. Rzeczywiście, to demonstracja spowalniała

> 8

9 <

ruch pojazdów. Kolejna manifestacja przeciwko używaniu paliwa do samochodów. Powszechnie wiadomo było, że od dziesięcioleci istniały auta o ekologicznych, niezanieczyszczających środowiska silnikach, ale rząd postanowił wykorzystać ostatnie naturalne rezerwy ropy. Za tą decyzją kryła się wielka kasa. Ceny samochodów elektrycznych utrzymywano sztucznie na wysokim poziomie, tak że prawie nikt nie mógł sobie na nie pozwolić. Poza wozami rządowymi, autobusami, karetkami pogotowia i samochodami służbowymi jak ten taty, wszyscy zmuszeni byli jeździć na ropy. Z Perym, moim kumplem, ogłosiliśmy petycję w tej sprawie w intranecie europejskiego systemu szkolnictwa. Zebraliśmy już przeszło półtora miliona elektronicznych podpisów za wprowadzeniem zakazu używania silników spalinowych.

No, w końcu otworzyła się przed nami droga. Za pięć godzin będziemy w Dinard. Ojciec załadował trasę do komputera pokładowego, włączył automatyczne kierowanie i przeszedł do tyłu, aby się zdrzemnąć. Nic dziwnego. Z biura wrócił bardzo późno wieczorem... a raczej bladym świtem. Ledwie zamknął oczy, radio na desce rozdzielczej zaczęło wypluwać:

– Serge... Serge, tu Nora, zgłoś się!

Ojciec podniósł się z westchnieniem:

– Co znowu? Zwracam ci uwagę, że od... pięciu godzin i czterdziestu pięciu minut jestem na urlopie.

– Żebyś się nie zdziwił! – odpowiedziała Nora po drugiej stronie.

– Co się znowu stało?

– Czerwony kod.

– Co???

– Czekają na ciebie pod adresem Maxime’a Grehanta.

– U Grehanta! To jakiś żart?

– O nie! Pełna gotowość bojowa. To poważna sprawa, Serge. Wysłałam ci adres.

Ojciec wrócił do przodu. Był wściekły. Nie wiedziałem, o co chodzi, poza tym, że cztery dni moich wakacji z tatą diabli wzięli. Kolejny już raz miałem cieszyć się Bretanią w pojedynkę.

– Maxime Grehant – zacząłem – to...

– We własnej osobie! – odpowiedział ojciec z napięciem w głosie. – TEN Maxime Grehant. Być może przyszły gubernator Francji.

– A więc Dinard...

– Zapomnij o Dinard. Czerwony kod, Goran. Bardzo mi przykro, ale zawracamy.

– My?

– Nie mam czasu, by cię odwiedzić.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Uwielbiam Bretanię, ubóstwiam moich dziadków pomimo ich staroświeckich gustów muzycznych, ale to, czego chciałem najbardziej, to być z ojcem, nawet jeśli miałyby to oznaczać pozostanie w Paryżu.

– Zadzwoń do Dinard, aby ich uprzedzić, dobrze? – poprosił tata. – O tej porze nie powinni jeszcze być w drodze do restauracji.

– A to nie jest zarezerwowane wyłącznie dla rozmów służbowych?

– Podobno miałem jechać na urlop, prawda?

Ojciec włączył kierowanie ręczne i skręcił w pierwszy wyjazd z autostrady, jaki się nadarzył. Babcia i dziadek odpowiedzieli automatyczną sekretarką:

*Tu telefon państwa Claire i Benjamina Poiretów. Po usłyszeniu sygnału prosimy zostawić wiadomość lub spróbować połączyć się z nami w restauracji Pod Wiatrakiem, pod numerem...*

Trzy kwadransy później parkowaliśmy pod numerem 52 w alei Focha. Akurat w tym momencie zaczęło lać.

– Poczekaj w wozie. To nie powinno potrwać długo.

Ojciec pobiegł do bramy kamienicy, nie zdołał jednak uniknąć nawałnicy szalejącej pod niebem o brudnożółtej barwie. Jak zwykle w porze deszczowej, pół godziny później, równie nieoczekiwanie jak się rozpoczęła, ulewa ustała i asfalt wysechł. Zdążyłem przez ten czas pięć razy obskoczyć wszystkie stacje radiowe i nie mogłem już usiedzieć na miejscu. Wysiadłem i skierowałem się w stronę ochrony strzegącej wejścia do budynku.

– Jestem synem agenta Poireta. Właśnie skontaktował się ze mną przez radio w wozie. Chce, bym do niego przyszedł.

Strażnik nie robił mi trudności z przejściem i wreszcie na trzecim piętrze natrafiłem na uchylone drzwi. Wszedłem na palcach do luksusowego apartamentu.

Krzętałi się po nim lekarze i umundurowani policjanci oraz funkcjonariusze w cywilu. Byli tak zajęci, że nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Zauważyłem nawet telefonującą z gabinetu Norę. Skierowałem się bezszelestnie do korytarza, na którego końcu znajdowały się szeroko otwarte drzwi. Im dalej się zagłębiałem, tym wyraźniej rozróżniałem głosy dwóch rozmawiających mężczyzn. Jednym z nich był mój ojciec. Momentalnie rozpoznałem drugi głos, tak często słyszany w telewizji: to był Maxime Grehant, sławny polityk.

– Mel tydzień temu skończyła szesnaście lat – mówił do ojca. – Ma się rozumieć, znajdowałem się wtedy na drugim końcu świata! Bardzo mi miała za złe, że nie było mnie w dniu jej urodzin... Melania źle znosi śmierć matki.

– Pańska małżonka zmarła dwa lata temu, czy tak? – zapytał ojciec.

Nie dosłyszałem odpowiedzi, bo przez otwarte drzwi dostrzegłem wyciągniętą na łóżku postać. Błądą, szczupłą i niezwykle piękną. Skąpaną w białej poświacie, oświetloną pionowym słupem światła, w którym tańczyły miliony drobinek kurzu na podobieństwo mikroskopijnych robaczków świętojańskich. Melania, Mel, jak we śnie. W moim śnie. Czyżby nieoczekiwane objawienie sensu, którego szukałem w życiu?